

Przemysław Mrówka: Od końca historii do końca świata

Przywykliśmy do myślenia, że model demokracji liberalnej stanowi szczytowe osiągnięcie rozwoju świata. Co jednak, jeśli tak nie jest? I dlaczego tak uznaliśmy? – pyta Przemysław Mrówka w artykule dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Zwijanie liberalnego projektu”.

Francis Fukuyama jest zapewne najczęściej wykpiwanym spośród filozofów. Ten niezręczny tytuł zdobył wygłaszając swoją teorię o końcu historii. Swego czasu przyjęta z dużym zainteresowaniem, dziś bezlitośnie drwi z niej szeroka rzesza ludzi pióra. Sam autor wycofał się z niej wiele lat temu, przyznając, że nie może być mowy o życiu w czasach po historii, mimo to jednak wypomina mu się to chybione proroctwo.

Pomyłka Fukuyamy, jak i wielu ludzi, którzy w swoim czasie go popierało, wynika z powszechnego przeświadczenia, że dane pokolenie żyje u szczytu rozwoju cywilizacji ludzkiej. W wypadku wspomnianego filozofa nałożył się na to koniec zimnej wojny, a więc bezprecedensowej rywalizacji kultur, światopoglądów, idei i gospodarek, dzielącej świat przez bez mała pół wieku. Doświadczenie o takiej skali mogło faktycznie wywołać przeświadczenie o pewnej ostateczności, jednak mnogość doniosłych wydarzeń ostatnich trzech dekad dowodzi jej fałszywości.

Nie można ocenić i zanalizować rzeczywistości, o ile nie zgodzimy się na obarczenie każdego jej opisu szerokim marginesem błędu wynikającym z niemożności poznania całości spektrum

Jeśli więc nie w czasach posthistorycznych, to w jakich przyszło nam żyć? Odpowiedź na pytanie zależna jest od naszego postrzegania teraźniejszości.

Historycy mają w tej

materii ułatwione zadanie, ponieważ nasza dziedzina na poziomie faktograficznym pozostaje niemal niezmienna i bez odkrywania nowych informacji przedmiotem debaty pozostaje jedynie ich interpretacja. Pozwala to na wprowadzanie pewnych kategorii, cezur i ram, pozwalających ująć historię, zanalizować ją i określić. Teraźniejszość jednak, będąca nieustannie kreowana, wymyka się temu procesowi. Nie można ocenić i zanalizować rzeczywistości, o ile nie zgodzimy się na obarczenie każdego jej opisu szerokim marginesem błędu wynikającym z niemożności poznania całości spektrum. To trochę jakby próbować opisać pokój stojąc w jego kącie i patrząc się w ścianę.

O ile historyków teraźniejszość nie interesuje (w każdym razie pod względem badawczym), o tyle vice versa już jak najbardziej.

Teraźniejszość wykazuje duże zainteresowanie historią, szuka bowiem pewnych mechanizmów, prawidłowości i tła dla samej siebie. Co ważniejsze, wykazuje też dążenie do szukania cech wyróżniających czasy dzisiejsze na tle minionych. Mechanizm ten jest dość zrozumiały, chcemy wszak wierzyć, że wyciągnęliśmy naukę z przeszłości i każdego dnia stajemy się lepszych od samych siebie z dnia wczorajszego. Być

może najbardziej widoczne było to w wieku XIX, gdy człowiek zachłysnął się swym rozumem i możliwościami, gdy każdego dnia naukowcy przesuwali granice poznania, gazety pełne były informacją o nowych odkryciach zaś inżynierzy dźwigali rasę ludzką wyżej i wyżej. Pewnym symbolem epoki mogą być powieści Juliusza Verne'a, nacechowane pewnością, iż nie ma granic ani przeszkód, których ludzkość nie pokona, jak również na poły apokryficzna wypowiedź przypisywana szefowi amerykańskiego Urzędu Patentowego, Charlesowi Hollandowi Duellowi, który stwierdził, że należy zamknąć podległą mu instytucję, ponieważ „wszystko zostało wynalezione”. Zwłaszcza na tle tej ostatniej teza Fukuyamy sprawia wrażenie bardzo ostrożnej i zachowawczej.

Teraźniejszość wykazuje duże zainteresowanie historią, szuka bowiem pewnych mechanizmów, prawidłowości i tła dla samej siebie

Próbując znaleźć pewne zależności można by stwierdzić, że ocena rzeczywistości zależna jest od poglądów politycznych.

Uproszczona i pozbawiona niuansów wersja brzmi następująco: o ile prawica traktuje dzień dzisiejszy jako okres skrajnego zagrożenia dla ludzkiej, a raczej zachodnioeuropejskiej, cywilizacji i tożsamości, o tyle lewica traktuje go jak szczyt rozwoju tejże samej ludzkości, którego osiągnięć należy przed prawicą bronić. Nie da się ukryć, że źle to rokuje próbom podjęcia debaty, jeśli spór polityczny stał się zażartym konfliktem cywilizacyjno-tożsamościowym...

Dla postawionego pytania ważniejsze jest jednak to, że nie da się nazwać współczesności przy tak rozbieżnych jej ocenach. Skoro wahają się one od szczytu rozwoju do krawędzi zagłady, nie może być mowy o jakimś uwspólnieniu stanowiska. Nie może być także mowy o znalezieniu jakiś cech dystynktywnych, bowiem ich zestaw będzie różny w zależności od światopoglądu.

I być może to jest właśnie wyróżnikiem naszej terażniejszości.

Przyszło nam żyć w czasach wielkiego chaosu i poszukiwania. Zapoczątkowany przez rewolucję studencką roku 1968 proces rewaloryzowania wartości zakłócił ewolucyjny tok rozwoju ludzkości w stopniu, o którym rewolucje francuska i bolszewicka mogły tylko pomarzyć. Do jej wybuchu istniał pewien w miarę powszechny konsensus co do podstawowych wartości. Można było go popierać i umacniać, można było zwalczać, nie negowało się jednak jego istnienia. Teraz jednak, wraz z zawieszeniem osądu i nobilitacją relatywizmu straciliśmy pewien wspólny fundament. Zastąpiły go potrzeba akceptacji i nurt określany szyderczo „fajnizmem”, w którym cechą najwyższą staje się bezkonfliktowość. I nie chodzi tu o tolerancję, ta bowiem, w odróżnieniu od „fajnizmu” nie traktuje tożsamości jednostki jako potencjalnego źródła konfliktu z inną jednostką. Od końca historii droga zaprowadziła nas więc do postmodernizmu, czasu zamieszania, zawieszenia i niepewności, braku samookreślenia i zatomizowania tradycyjnego poczucia wspólnoty.

*Zapoczątkowany przez
rewolucję studencką roku
1968 proces rewaloryzowania
wartości zakłócił ewolucyjny
tok rozwoju ludzkości w
stopniu, o którym rewolucje
francuska i bolszewicka mogły
tylko pomarzyć*

Być może jednak
wpadam w tę samą
pułapkę, co
Fukuyama, dając
wyraz
przeświadczeniu o
pewnej wyjątkowości
naszych czasów,
jedynie przydając
też wyjątkowości
nieco
apokaliptycznego

wymiaru. W końcu swego czasu równie apokaliptyczny wydawał się
spływający krwią bruk wokół Conciergerie czy rujnowany przez
barbarzyńców Rzym. Mimo opisywanego przeze mnie powyżej kryzysu
nie zarzuciliśmy jednak bycia ludźmi, choć przeglądając serwisy
informacyjne można nieraz odnieść takie wrażenie. Nie jest też
powiedziane, że wszelkich obserwowanych zjawisk negatywnych nie da
się jeszcze naprawić.

Sądzę więc, że od końca historii zaszliśmy w nieznane i nie jest to
koniec drogi. Stwierdzenie to jest może truizmem, ale jak starać się
opisać czas, którego poziom skomplikowania wymyka się naszemu
pojmowaniu? Pewnego dnia zrobią to przyszli historycy, nam pozostaje
zadbanie o materiał dla ich pracy.

Przemysław Mrówka